

- Nie, takie młódky jak pani nie są głupie, wiedzą, czego chcą. Teraz chłop głupszy od baby. Wszystko się poodwracało. Ten wasz dryblas też jakiś niewydarzony.

- Jadzia, choć tu na chwilę! – rozległ się nagle z dołu głos chudzielca. Zabrział jak stanowczy protest lub oburzenie. Cała trójka parsknęła śmiechem. Ruda oblizła czubki palców i pobiegła żwawo w stronę wykopu.

Mateusz szturchnął Bzikańskiego. - Widziałeś, Władziu, nie miała staniaka pod koszulką! Czego to baba nie zrobi, żeby chłopą zaciągnąć do wyka.

Bzikański ziewnął, przetarł kułakiem oczy, usiadł powoli i krzywiąc gębę, jakby w obawie, że znajdzie coś sobie dobrze znanego i niezbyt smacznego, zajrzał do koszyka. Wyciągnął nakrochmaloną kraciastą serwetę, po której biegały mrówki. Zaczął je rozgniatać poślizgiem paznokciem wykrzywionego kciuka. Odezwał się od niechcenia:

- Dwadzieścia lat temu powiedziałbym „Głodnemu chleb na myśl”, ale dzisiaj ci tak nie powiem.

- A żebyś wiedział! – zawołał Mateusz. A ty co? Płakać nad tobą. Po co ja do ciebie przyjadę?

- Właśnie – Bzikański rozkleił zlepione pajdki chleba i podsunął pod nos. - Lepiej byś do kościoła poszedł. Ludzie gadają, że pokręciło ci się trochę na stare lata.

Mateusz się poderwał i kciuki za gumowe szelki wsadził.

- Kto, ta stara dewotka, która baranki cukrowe sprzedaje? A może Marcinkowa, morda niewyparzona, co pomyje wylewa na ulicę? Ma ksiądz zandarmerię, nie ma co.

- Pytał o ciebie – powiedział Bzikański, już z pełną gębą chleba.

- Kto?

- No, ksiądz dziekan.

- Powiedz mu, że ja też o niego pytałem. Sam nie jest lepszy od tych bab. Opiekun się, cholera, znalazł. Takich komedianów zawsze pełno. Wpicprzają się między wódkę i zakąskę, i jeszcze chcą, żeby ich po rękach całować. Pamiętasz dziadów, co łazili przed wojną? Było ich od cholery. Przyszędł kiedyś do nas jeden. Obrazki święte miał i gadał bez przerwy o końcu świata. My w pole do roboty, on za nami. Siedział na miedzy i modlił się bez przerwy. Był u nas ze trzy dni. Wieczorem, przy kapuścianym

barszczu, ojciec kłął i mówił o zasnym życiu, wtedy ten podnosił łeb znad miski i mówił: „Synu, ty bluźniesz. Bóg wszystko widzi”. A jak odchodził, Bogu dziękował i wszystkim świętym, tylko nam zapomniał, dziadoga.

Mateusz spojrział z pogardą na Bzikańskiego. Stanął w pełnym słońcu tyłem do kolegi. Nie odwracając się, powiedział:

- Siedz tu sobie. Idę do miasta, do ludzi z ikłą i na poziomie.

Bzikański machnął ręką.

- Idź, idź, w Dworcowej pod stołem czeka na ciebie Manius-komornik, największy człowiek. Pogadacie sobie o gwiazdach i księżycu.

Mateusz też machnął ręką.

- Stu takich jak ty za mało na Maniusia-komornika, a o gwiazdach i księżycu lepiej nie wspominać, boś na to za głupi.

Gdy wieczorem owce Gali wracały wzdłuż rzeki, pobekując i wlokąc za sobą brzęczące łańcuchy, nikogo już nie było na zamkowym dziedzińcu. Słońce zjechało w dół, nad zagrodę Skierkowskiego za rzeką, potem utoneło gdzieś hen w podmokłych kalińskich łąkach. Bzikański, stary dziadzie półetatowy, zmyleć się chyłkiem, tymczasem gwiazdki zaczynają śmigać jak złote rybki. Może wpadłaby ci jakaś do kieszeni i ogrzała obolałe kości?

„To zwykły nygus, zapewniam pana”, mawiał Manius-komornik, gdy zgadało się o Bzikańskim, reumatyzmie, bolących zębach, hemoroidach, duchach i sklerozie. Manius-komornik obejmował brzeg kufla mięsistymi wargami, które, jak dwie różowe gąbki, wchłaniały szybko i chciwie spienione piwo. „Widziałem kiedyś jak bigos spożywał, że się tak wyrażę. Bigos strawa ciężka czyli ciężkostrawna, co oznacza, że nie może być chory. To po pierwsze. Po drugie, z pewnością nie słyszał o „Opowieści zimowej”. Bo duchy, proszę pana, są zawsze konkretne, nie ma duchów jako takich, że się tak wyrażę. Stary Ziemowit III kazał zamknąć w wieży swoją młodziutką żonę pod zarzutem cudzołóstwa. Biedaczka na śmierć zmarniała, zaś stary cymbał zmysły postradał. Głośno było o tym w całej Europie, nawet Szekspir się historią przejął, ale Bzikański nie ma o niej zielonego pojęcia. Jakim cudem, py-

tam, mógł zjawę w baszcie zobaczyć? Żeby widzieć, trzeba przedtem wiedzieć, że się tak wyrażę.

Gdy z szarego świtu wychywały się dachy pokryte papą, blachą i gdzieś niedługo czerwoną dachówką, w zagrodzie Skierkowskiego już na dobre harcowały rozewierkane wróble. Wkrótce promienie słońca wdarły się na strychy przez okienka i dziury w dachach, do piwnic, gdzie się ślizgało po półkach zastawionych słoikami wypełnionymi sokami, kompotami, dżemami i galaretkami z tegorocznych zbiorów; do kurników, komórek, psich bud i stojących jeszcze tu i ówdzie wychodków.

Niedługo potem pojawił się na moście mały Bzikański z kufajką pod pachą. Ruszył w stronę wykopów. Ujrawszy kolorowe ubrania w trawie i łopianach: sukienki, bluzki, spodnie, skręcił w lewo, obszedł baszę i dziedziniec, po czym rozłożył kufajkę na murawie w długim jeszcze cieniu północnych murów. Usiadł, rozwiązał trumnia, ale ich nie zdjął. Po chwili położył się na boku i zakrył oczy rękawem kufajki.

A w południe, znacznie wcześniej niż zwykle, przyleciała Bzikańska. Przekładając wiklinowy koszyk z ręki do ręki, wdrapała się na zwaly ziemi. Wachlowała się fartuchem nerwowo i z widocznym niepokojem wypatrywała męża. Krzyknęła do chudzielca w słomkowym kapeluszu:

- Jest tu gdzie mój stary?

Chudzielec rozłożył ręce. Kobieta wydłużyla kroki i zsuwając się po piachu, pobiegła w lewo, pod północne mury. Dojrzała z daleka leżącego, jednak nie zwolniła, lecz przyśpieszyła jeszcze. Gdy wreszcie dotarła zziębnięta, opadła ciężko na kolana i gwałtownie potrząsnęła mężowskim ramieniem.

- Władek, obudź się!

Przestraszony stróż poderwał głowę. - Co?... to ty? Opuścił głowę na powrót i przymknął oczy. - Już południe – mamrotał – jak ten czas leci. Co dobrego przyniosłaś?

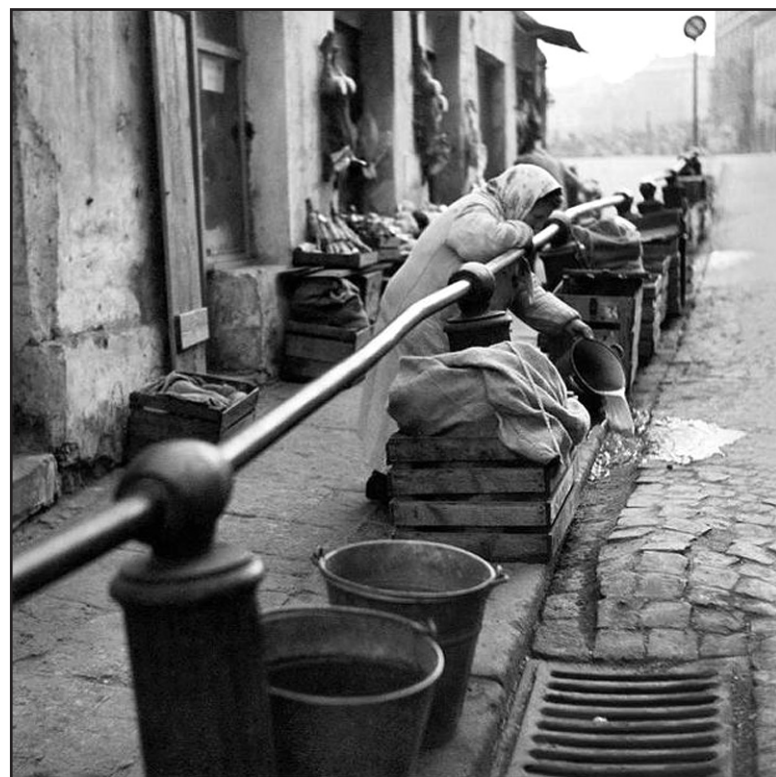
Bzikańska znów potrząsnęła starym, tym razem znacznie energiczniej.

- Nie wiesz, co się stało? Mateusz umarł! A ty sobie leżysz!

Bzikański natychmiast usiadł.

- Mateusz? Co ty pleciesz, babo?

Kobieta otarła twarz fartuchem i wyrzuciła z siebie jednym tchem:



- Dziś w nocy. Ale żebyś wiedział gdzie. Mateuszowa płacze i mówi, że to przez nią, bo nie chciała go wpuścić do domu. Stary przyszedł późno. Podobno popił z Maniusiem-komornikiem. Słyszała, że podśpiewywał sobie i wcale się nie upierał, żeby mu otworzyła, i kiedy poszedł sobie, wyskoczyła za nim, ale już go nigdzie nie było. Wiesz gdzie trafił? Do Rybakowej! Ona też lepsza – mówi, że go tylko przemocowała i dopiero rano zauważyła, że nie żyje. Podobno leżał w jej łóżku!..

- A gdzie miał leżeć? – przerwał Bzikański. - Ale co mu się stało?



- A co, nic – serce. Serce wysiadło. Już go zabrali. Rybakowej sama bym kudły powyrywała. Taki wstyd!

Bzikańska sięgnęła po koszyk, ściągnęła ściereczkę z płytkiego garnka i zdjęła pokrywkę. Postawiła garnek między udami męża.

- Jedz, bo wystygnie – powiedziała stanowczo.

Stary zwiesił głowę, kilka kosmyków rzadkich siwych włosów opadło mu na czoło. Wpatrywał się tępo w parujące kartofle, kotlet mielony i mizerię polaną śmietaną. Odrzucił łyżkę do garnka.

- Nie mogę. Pójdę tam.

Żona wcisnęła mu z powrotem łyżkę do ręki.

- Siedz, jak ci dobrze! Mówię przecież, że go zabrali! Nic tam po tobie! Bzikański spojrzął przed siebie, gdzieś daleko, w jakiś nieokreślony punkt i bardziej tej dali niż żonie powiedział z nostalgią w głosie:

- Jeszcze wczoraj był tu. Aż nie chce się wierzyć...

- Pogrzeb chyba we wtorek. Jedz, jak ci mówię! – nieszczepła się Bzikańska.

- Łazi człowiek, łązi, przychodzi czas i nic nie poradzisz – westchnął stary.

Żona pokiywała głową: - Jeszcze mógł pożyć, gdyby chciał. Dziadyga, zawsze chojraka strugał. Parę dni temu, Kułaga, ten, co torby robi, nie mógł zapalić samochodu. Kupa dzieciaków pchała auto i Mateusz z nimi. A krzyczał najgłośnieję. Może mu wtedy jakaś żyłka pękła.

Bzikański odstawił garnek i zwiesił głowę.

- Nie mogę – powiedział błagalnie.

- Wczoraj serce go zabolęło. Mówisz, że wypił trochę?

- Jedz, bo się zmamuje! Świni ani psa

